

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/kor/70167,Wstep-do-poetyki-donosu.html>



ARTYKUŁ

Wstęp do poetyki donosu

Autor: BOHDAN URBANKOWSKI 29.10.2019

Wiedza o naszej historii i literaturze wciąż jest ułomna – i pozostanie taką, dopóki nie wydamy antologii donosu polskiego. Biorąc zaś pod uwagę, jacy pisarze byli zaangażowani w jej tworzenie i jak długo trwała ich „twórczość”, można założyć, że będzie to ewenement w skali świata.

Stworzenie takiej antologii merytorycznie i prawnie nie jest trudne. Teksty były już opłacane jako donosy z budżetu MSW, więc prawo autorskie przeszło na tajne służby, a po ich rozwiązaniu – na państwo. Procesów

żaden z tych TWórców nie wytoczy, natomiast na pytanie, czy im samym winno się wytaczać procesy, należy odpowiedzieć twierdząco. Donosy tajnych współpracowników powodowały realne krzywdy – ten człowiek stracił pracę, tamten wolność, ów wyjechał z rodzinnego miasta, a nawet z kraju. Jeżeli oficjalne prawo zrezygnuje z przywracania sprawiedliwości – w kulturze powstanie wyrwa, swoisty *no law land*, trzeba będzie wybierać między nihilizmem a samosądem (*lynch law*). Smoła i pieprz mogą okazać się wtedy podręcznymi narzędziami przywracania wiary w sprawiedliwość.

Zaniechanie lustracji i sądzenia tajnych złoczyńców może zapoczątkować (o ile już tego nie czyni) zniszczenie etosu życia zbiorowego. Rezygnacja z użycia prawa wobec tajnych donosicieli implikuje bowiem przekonanie, że złoczyńca tajny pozostaje istotą uprzywilejowaną i wyższą nie tylko od złoczyńcy jawnego i jawnie osądzonego, lecz także od ludzi niewinnych, a nawet zasłużonych. Trud tych ostatnich jawi się bowiem jako czynność absurdalna. Efektem postępowania ludzi prawych jest niedola najbliższych, gorycz świadków i bezczelny chichot donosicieli (pomijając ich korzyści materialne odnoszone dzięki donosom). Dla odbudowy wiary w sprawiedliwość należy przyjąć, że potomkowie skrzywdzonych również mogą pozywać donosicieli – odebrano im bowiem prawo do dzieciństwa tak szczęśliwego, jakim byłoby, gdyby nie działalność delatorów. Precedensy można znaleźć już w orzecznictwie Republiki Federalnej Niemiec oraz w roszczeniach dzieci i wnuków Holocaustu.

Stale i zmienne wartości utworów kapownicznych

Donos jako materiał oskarżenia ma wartość zmienną i stałą. Zmienną, gdyż po politycznej transformacji z dokumentu oskarżającego opozycjonistę staje się dokumentem oskarżającym samego donosiciela i władzę, którym służy, a jednocześnie świadectwem moralności, odwagi, a czasem niezwyklej inteligencji i pomysłowości opozycjonisty, który w pełni zasługuje na miano bohatera donosu. Ta wartość ma charakter odwracalny – jak same transformacje polityczne. Wartością niezmienną pozostaje jakość literacka donosu.

Tożsamość genologiczna donosów i problemy pokrewne

W napisanym ok. 335 r. przed Chrystusem traktacie *O sztuce poetyckiej* Arystotelesa został wprowadzony podział przydatny do dziś. Literatura to liryka, epika i dramat. Współczesność dodała rodzaj czwarty – literaturę faktu, pisaną, ale także mówioną, a w niej takie gatunki, jak listy (fakty prywatne, subiektywne), reportaże pisane dla sławy i dla służb, a z mówionych – wywiady (protokołowane przesłuchania) i gawędy. Osobny nurt stanowi metaliteratura, czyli analizy dzieł zwane krócej krytyką. Do tej kategorii należą konsultacje i opiniowanie utworów dla SB oraz poufne „recenzje polityczne” wykonywane dla wydawnictw.

Z punktu widzenia teorii donos jest podgatunkiem literatury epistolarnej, ma nadawcę i adresata. Dodać można, że stopniem demokratyzmu stoi wyżej niż *poesis docta* – czytelna tylko dla elit i tym samym dzieląca społeczeństwo. Donos łączy – w głównianej odmianie demokracji – ale łączy! W PRL uprawiała go czołówka

literatów: Andrzej Szczypiorski, Daniel Passent, Ryszard Kapuściński, Włodzimierz Odojewski, Andrzej Kuśniewicz, Eugeniusz Kabatc, Henryk Grynberg, Aleksander Jerzy Wieczorkowski, ale także przedstawiciele innych zawodów artystycznych (Marek Piwowski, Henryk Tomaszewski), przyartystycznych (TW „Ewa” – Zofia O’Bretny, kochanka, potem żona Pawła Jasienicy) i zgoła nieartystycznych, jak legendarny już TW „Bolek” – prosty elektryk, który dzięki uprawianiu tej literatury rozpoczął olśniewającą karierę w stylu amerykańskim: od liźbyta do prezydenta.

W edycji – jak uważam – zachować będzie trzeba pisownię oryginału, błędy można poprawiać w przypisie. Pomyłki bowiem dużo mówią o autorze donosu, zarówno te nieświadome, wynikające z pochodzenia klasowego, jak świadome, wyrozumowane. Donosy ludzi prostych to raj dla socjologa, etnologa i językoznawcy.

Tradycje i ambicje

Z demokratyzmem (egalitaryzmem) donosów łączy się ich naturalny pozytywizm, tak w estetycznym, jak w politycznym i ideologicznym wymiarze. Z respektu dla milicyjnego adresata i z lęku przed „krzyżową” kontrolą służb delatorzy podawali informacje uważane za prawdziwe; stopień przybliżenia ich tekstów do rzeczywistości bliższy jest Arystotelesowej definicji prawdy niż „prawdziwość” utworów uchodzących za „literaturę faktu”. To donosiciele opisują materialne fakty – i więcej nic. Gra słów narzuca się sama: fakty i nic, czyli nicość. Nie ma żadnych wartości wyższych, odgórných iluminacji ani cudownych nawróceń. Bohaterowie donosów kierują się tymi samymi wartościami co ich autorzy – chęcią poprawy bytu materialnego, zdobycia wygodniejszej nory, smaczniejszych potraw, lepszego miejsca w hierarchii stada. Większość donosicieli to zdeklarowani materialści – nawet jeżeli wspominają o tzw. wartościach wyższych, to tylko po to, by podkreślić, że są to albo złudzenia, albo celowe fałszy rozpowszechniane przez kler. Widziana w dłuższej perspektywie czasu literatura donosicielska jawi się jako ważna część projektu socrealizmu, a nawet socrealizmu *avant la lettre*. Namysł nad nią pozwala przyjąć, że nurt ten miał swe źródła nie w czasach Andrieja Żdanowa i Stefana Żółkiewskiego, lecz w epoce pozytywizmu, który ograniczał swoje analizy do faktów materialnych i socjalnych. Pamiętajmy, że w porównaniu z literaturą romantyzmu pozytywizm cechował się rezygnacją z wartości tzw. wyższych – religijnych i patriotycznych, w przypadku literatury polskiej – szczególnie z katolickich i niepodległościowych. To samo da się powiedzieć o literaturze socrealistycznej, także w odmianie delatorskiej. Można więc mówić o dwóch nurtach socrealizmu: pierwszym, sfabularyzowanym (ale jawnym) dla mas i drugim, bardziej adekwatnym do rzeczywistości (ale tajnym) dla elit rządzących. Jawny tworzyły powieści Kazimierza Brandysa i Kazimierza Koźniewskiego, tajny – donosy tegoż Koźniewskiego, a także Szczypiorskiego, Grynberga, Aleksandra Nawrockiego, Henryka Szlajfera i wielu innych twórców.

Można powiedzieć, że marzenie o realizmie socjalistycznym wcieliło się w sposób niedoskonały w powieściach „produkcyjniakach” i w sposób doskonały – w donosach gromadzonych w teczkach UB!

Problem periodyzacji, wpływ czasu na sztukę donosu

Rzecz jasna, antologia donosu winna się skupić raczej na najwyższych niż na najniższych osiągnięciach sztuki delatorskiej (zobowiązuje nas do tego sam termin „sztuka”!) – zwłaszcza że niektórzy z polskich donosicieli osiągnęli wyżyny artyzmu i z bezwzględnością Charles’a Baudelaire’a posługują się lancetem psychologii; wielu z nich dopiero na poziomie niejawności wspina się na wyżyny analiz socjologicznych i politologicznych.

Nasz socrealizm rozciągnął się na lat ponad czterdzieści, więc na czas odpowiadający życiu dwóch pokoleń, lecz z przyczyn pozaliterackich zagarnął także twórców (i TWórców...) pokoleń przyległych. Ograniczając się do najwybitniejszych: na jednej krawędzi czasu Andrzej Kuśniewicz – rocznik 1904 i Leopold Lewin – 1910; na drugiej – literacka młodzież: ta starsza, jak Aleksander Nawrocki – prawdopodobnie 1940 lub 1941[1] i Grzegorz Walczak – na pewno 1941, a po nich „młodzież młodsza”, jak „stary komandos” Henryk Szlajfer, rocznik 1947, czy „najmłodszy komandos” Zygmunt Dzieciołowski – 1949. Stąd – w pozornie jednolitym gatunku różnorodne mody i narracje, pryncypialny lub bardziej nonszalancki stosunek do reguł sztuki, stąd też wymuszony przez czas podział na co najmniej dwie grupy: na donosy klasyczne, rzeczowe i monotonne, oraz awangardowe, poszukujące własnych środków wyrazu, sięgające nawet po nowe media – jak niektóre donosy TW „Stefana” – Jana Guranowskiego oraz TW „Albina” Szlajfera, nagrywane na taśmie magnetofonowej.

Klasyki pracowici i leniwi

W nurcie klasycznym, reprezentowanym przez starszych delatorów, uwagę zwracają relacje Leopolda Lewina, który potrafił tchnąć ducha w zbanalizowane przez czas doniesienia na emigrację. Ograniczona objętość, konieczność zamieszczania informacji o gęstości książek telefonicznych na pozór uniemożliwiała autorowi (jak i innym donosicielom) rozwinięcie skrzydeł. Lewin przeskakuje tę trudność: zapewnia poczytność swoim tekstom, wprowadzając element niespodzianki i gry z wiedzą czytelnika. Autor opisuje środowisko antykomunistów uważających się za skrzywdzonych, marzących o powrocie do Ojczyzny, a także o obaleniu jej ustroju. I dopiero kiedy czytelnik zamyśli się nad ich nazwiskami – dotrze do niego, że rzekome ofiary to w istocie emigranci z roku 1968 czy 1956: byli dygnitarze partyjni, propagandyści, a nawet funkcjonariusze UB wydaleny za nadużycie władzy. By rozsmakować się w tego rodzaju donosach, jest jednak potrzebna spora wiedza historyczna, mają one charakter elitarny, nieco kokietujący.

Mniej elitarny charakter ma twórczość „Ewy” – Zofii Darowskiej (primo voto O’Bretenny), którą także należy zaliczyć do nurtu klasycznego, jednak bardziej popularnego. Jeśli Lewin jest Zenonem Kosidowskim donosu, to ona – Heleną Mniszkówną, Hanną Krallówną czy zgoła Anną Bikont. Drugi sort, ale z sensacją i sentymentem. TW „Ewa” – pracownica administracji uczelnianej, znajoma kilku literatów – cały czas marzyła o awansie do elity. Współpraca z SB okazała się dla niej szansą. Monitorowała wyrastającego na przywódcę opozycji Pawła Jasienicę, wykazując dużą pomysłowość. Chadzała regularnie na jego spotkania autorskie, siadając

w pierwszym rzędzie i prowokując go krótką spódnicą, a dodatkowo inteligentnymi pytaniami. Początkowo przygotowywali je fachowcy z SB, potem robiła to sama – uważnie wczytując się w twórczość i poglądy figuranta. Dość szybko zorientowała się w jego kontaktach nie tylko z kawiarnianą opozycją, lecz także z dawną kadrą AK i WiN. Lojalnie informowała o tym służby, przekazała niektóre adresy, co umożliwiło interwencje w miejscach pracy – bez przedwczesnego płoszenia figurantów. Gdy Jasienica poczuł się zagrożony – TW „Ewa”... zaczęła go „ukrywać” w swoim mieszkaniu. W dzień działała jako jego łączniczka w środowisku, a w nocy... pisała dla SB swój wspaniały romans w odcinkach. Ukoronowaniem jej działalności było małżeństwo z figurantem, na które bezpieka wydała zgodę. Donosy O’Bretenny wpisują się z konieczności w poetykę „odcinkowców”, popularną od czasu radiowej audycji Matysiakowie, trochę nawet namiękły ich sentymentalnym sosem. To opowieść o romantycznych przygodach komunistycznej Julii i Romea antykomunisty, do tego dramat ambicji biurowej lady Makbet i jeszcze parę scen z bajki o Kopciuszku. Trzy w jednym! To naprawdę się czyta.

Rozczarowuje natomiast twórczość skądinąd wybitnych literatów, takich jak Kuśniewicz czy Koźniewski. Realizują się oni przede wszystkim w nurcie literatury jawnej; donosy traktują wyraźnie jako twórczość uboczną, wspierającą karierę, ale czasem przeszkadzającą w tym, co uważają za swą główną domenę.

Wyjątek stanowią tylko niektóre donosy TW „Andrzeja” – Andrzeja Kuśniewicza. I to nie tyle ich forma, ile naszkicowane w donosach sytuacje – proszące się o dramatyczne rozwinięcie i o najbardziej okrutnych reżyserów. Oto Kuśniewicz odwiedza swego przyjaciela, Pawła Jasienicę, w szpitalu. Z bólem, ale rzeczowo, relacjonuje: „cierpi na chorobę krwi typu rakowego, nierokującą wyleczenia. Za miesiąc powinien znaleźć się w domu, lecz stan jego pozostaje krytyczny lub wręcz beznadziejny” – ten męski, spartański tekst brzmi jak pożegnanie. Ale nie jest adresowany do przyjaciela ani do nikogo z jego bliskich, to donos przeznaczony dla SB! Jego metafizyczny wydźwięk psuje nieco natrętne, wyraźnie serwilistyczne dopełnienie. W tym samym czasie umierającego Jasienicę odwiedza znany z opozycyjnych poglądów Stefan Kisielewski. TW „Andrzej” postanawia „się wykazać” i robi – jak pisze – eksperyment, oświadczając, że paryska „Kultura” wydała nową książkę opozycjonisty kryjącego się pod pseudonimem Staliński. Kisielewski „drgnął i zmieształ się wewnątrz”, z czego Kuśniewicz wywnioskował, że to on jest Stalińskim – i gorliwie o tym doniósł służbom.

Ten „męski”, opatrzone podwójnym dnem donos to, niestety, wyjątek w delatorstwie Kuśniewicza. Większość jego raportów jest literacko mizerna, plotkarska i małostkowa; nie da się jej porównać z twórczością jawną, oficjalną. Również donosy Koźniewskiego są właściwie „nagimi” donosami, ograniczonymi do wartości informacyjnej. Zero wartości estetycznych, zero prognoz politycznych, zero filozoficznych uogólnień.

Poszukiwania twórcze - międzypokoleniowcy

Interesującym rozdziałem jest donosicielstwo pisarzy średniego pokolenia. Świetny reportażysta Ryszard Kapuściński (rocznik 1932, ps. „Vera Cruz”) potwierdza swoją klasę, tworząc donosy – minireportaże, lepsze od tych drukowanych jawnie, bo krótsze; jest niemal Borgesem donosu. Najlepsze perełki to zarazem etyczne przyczynki do moralności naszych emigrantów, dyplomatów, a zwłaszcza środowiska dziennikarskiego.

Niektóre informacje, poza atrakcyjnością obyczajową (kto z kim) miały duży potencjał operacyjny. Nawiasem mówiąc, właśnie w środowisku penetrowanym przez Kapuścińskiego plasuje się najwyższa ilość (celowo nie piszę: liczba!) tajnych współpracowników. Najniższa – jednak wśród księży. Wnioski pozostawiam czytelnikom.

Warte uwagi jest także donosicielstwo Daniela Passenta – TW „Johna” (rocznik 1938).

W prozie jawnej jest on lekkim, często koloryzującym felietonistą. Na ogół powtarza plotki i tak się nimi fascynuje, że nawet jego felietony ekonomiczne mają walor raczej plotkarski niż naukowy. Inna rzecz, że w obliczu ekonomii socjalizmu nauka była bezradna, składała się z samych plotek.

Natomiast tajne raporty TW „Johna” to nieco inne utwory, są one obciążone pewnym ołowiem rzetelności – dlatego nie bujają zbyt wysoko. Raport Passenta pisany z pobytu na stypendium Uniwersytetu Princeton w USA to krzyżówka reportażu i donosu. Zawiera informacje przydatne operacyjnie, ale i ciekawostki z terenu obcego dla służb komunistycznych. Raport Passenta, adresowany w zasadzie do Biura Prasy KC PZPR, został specjalnie wzbogacony i napisany tak, by – jak to podkreślił autor – uwzględnić zainteresowania SB. Stąd dużo uwag o strukturze amerykańskiej uczelni, o jej polityce kadrowej, naukowej i stypendialnej; sporo nazwisk. Passent zwraca uwagę na to, że uczelnia otrzymuje tajne dotacje, za którymi stoi Departament Stanu – a to dlatego, że jest kuźnią kadr urzędniczych i dyplomatycznych USA. Raport „Johna” przypomina raz jeszcze, że nie ma informacji nieważnych. Ich potencjał ujawni się w momencie, gdy jakaś plotka okaże się przydatna do szantażowania i werbunku. Czytany pod tym kątem Passent okazuje się bardziej tajemniczy, nieomal hermetyczny, ale wart rozszyfrowania. Informacje na pozór banalne kryją w sobie potencjalną groźbę, wyczuwalną dla prawdziwych smakoszy. W tym wymiarze donosy Passenta jawią się jako głębsze, bardziej przewrotne niż jego plotkarskie felietony, w których wszystko mówi się otwarcie.

Młodzież przyszłością narodu

W zestawieniu z twórczością „klasyków” twórczość donosicieli młodszych cechuje się większym indywidualizmem. Spoza słów widzimy twarze donosicieli, widzimy malujące się na nich uczucia.

Przejdźmy zatem do tych młodszych.

Wnikliwe zawsze donosy Andrzeja Zaniewskiego (TW „Orłowski”) zaskakują czasami okrucieństwem w ujawnianiu prawd o swych bohaterach. Jawnie by tego nie dokonał. Pewny swej anonimowości, pisze o ich oszustwach, zdradach i głupocie. Za główne motywy działań swoich bohaterów uważa chciwość i ambicję. Obraz ludzkości w jego tekstach jest bliski diagnozom z jawnej powieści *Szczur*, zrównującej człowieka i gryzonia – jest jednak bardziej pesymistyczny, by nie rzec nihilistyczny. Ponieważ w oficjalnej prozie PRL nihilizm nie istniał, trzeba uznać tę tajną prozę za istotne dopełnienie obrazu; bez niej byłby niepełny. Dzięki donosom Zaniewski i literatura PRL odzyskują sojusz z prawdą. (To spostrzeżenie pozwala nam docenić rolę donosów w ogóle i rolę tajnych służb w szczególności. Używając określenia *Dieu caché* [Bóg ukryty], Blaise Pascal mógłby mieć na myśli tajne służby...). Zaniewski to najwybitniejszy reprezentant nurtu, który można by

określić jako neonaturalizm ubecki. Niejedyny zresztą – ten nurt bowiem wyraźnie dominuje w prozie naszych młodych donosicieli.

„Jan”, czyli Leszek Żuliński, czyli TW „Literat”, to drugi i jednocześnie trzeci (zarejestrowany pod dwoma pseudonimami) wybitny reprezentant tegoż nurtu. „Jan” marnował się jako poeta i dopiero dzięki donosom odkrył swój talent prozatorski, nawet nauczył się streszczać książki i został niezłym jawnym krytykiem, czynnym i poważanym do dzisiaj. Jego donosy, pisane od 1974 r., są jak kamyki mozaiki, która powoli układa się w sagę naszych czasów. „Jan” podaje ideowe rodowody, wskazuje aluzje literackie, uwrażliwiając odbiorcę na istnienie tzw. drugiego dna. Niektóre jego donosy, układając się w dłuższe ciągi, tworzą delatorski odpowiednik sensacyjnego serialu telewizyjnego, znacznie bardziej nowoczesnego niż opowieści TW „Ewy”. To raczej *Ptaki ciernistych krzewów* – pogłębione o wymiar polityczny. W aktach SB zachował się jego serdeczny list do przyjaciela sprzed lat, zaczynający się od słów „Drogi Anthony”. Czasem ckliwie, czasem żartobliwie Żuliński przywołuje w nim czasy, kiedy obaj pisali wiersze i wierzyli, że poprawią nimi świat. Spod pogodnych słów przebija troska, jak dawny przyjaciel radzi sobie na emigranckim chlebie: „Napisz, jak Ci się układa. Czy jesteś już dyrektorem BBC. A jak twoja Suzan?”. W dalszym ciągu Leszek pisze o swojej pracy, dodaje, że planuje wyjazd do Anglii, snuje projekty „powrotu do młodości” – spotkań dawnych przyjaciół, np. nad Morzem Czarnym albo po prostu w kraju. Zakończenie listu jest równie serdeczne jak początek: „Anteczku! traktuj ten list jako koleżeńską próbę odświeżenia [kontaktu]. Napisz, co u Ciebie. Mocno Cię ściskam i całuję Twoją Suzan”.

Przeżywający akurat ciężkie życiowe problemy adresat listu czytał go zapewne ze łzami. Tak przypuszczam – bo również ja, przewracając pożółkłe stronicę, czułem się, jakby jakaś niewidzialna ręka przeniosła mnie w świat *Latarnika* – mocno ściskając za gardło. Takich listów jest w aktach SB więcej. Po pewnym czasie, gdy – za zgodą służb – ich adresat Antoni Nowak z rozrzwieniem odwiedza starą Ojczyznę i zamieszkuje u „kochanego Leszka” – zmienia się zaskakująco i ton listów, i ich adresat. W mistrzowski sposób dostosowując stylistykę, Żuliński opisuje spotkanie u znajomych, na którym trafia się inny przyjaciel. Ten „w trakcie spotkania wykonuje piosenki o tematyce politycznej (Okudźawy, Wysockiego)”, a także łagiernyje, antyradzieckie, antystalinowskie, polskie, sławiące przywiązanie do Lwowa i Wilna”[2]. W innym miejscu, w krótkich, żołnierskich słowach „Jan” informuje o publicznym czytaniu zakazanego poematu, w jeszcze innym donosi, że jego przyjaciel spotykał się z krytykiem (żydowskiego pochodzenia) Arturem Sandauerem, a także że był u znajomych, państwa Poborczyków (?), którym sprzedał szwedzką walutę – 25 zł za koronę. Te słowa są już dość złowrogim, obciążonym paragrafami donosem. Cała akcja, którą można nazwać „operacją nostalgia”, została wymyślona przez komunistyczną służbę, wszystkie wzruszające wspomnienia i „duszeszczypatielnyje” frazesy podrzucili Żulińskiemu towarzysze z SB, choć w wielu momentach wykonanie przechodziło ich oczekiwania. Dzięki talentowi Żulińskiego tajna policja otrzymała cenne informacje i jeszcze cenniejsze „haki”.

Wracając do analizy delatorskiej prozy Żulińskiego, można dodać, że jego wielostylowa polszczyzna jest nacechowana – by nie powiedzieć pobrudzona – wysokiej jakości turpizmem, który nadaje jej jedność. Pod każdym ludzkim pięknem agent odsłania brud. To czyni tajną twórczość TW „Jana” prozą pokrewną jawnemu turpizmowi Andrzeja Bursy czy Stanisława Grochowiaka. Żuliński okazał się najlepszym reprezentantem niejawnego części tego nurtu. W jego twórczości możemy zaobserwować – jeszcze w załączku, jeszcze

wymagającą sterowania przez zwierzchność – próbę tworzenia literatury interwencyjnej. Jego utwory znajdują swe dopełnienie w działalności operacyjnej, w sferze *praxis*. Nie jest to już literatura czysta, lecz po części użytkowa, manipulacyjna. Cechę tę jeszcze bardziej widać u Nawrockiego, który próbuje manipulować również służbami.

Żulińskiego i Nawrockiego można zaliczyć do grupy donosicieli pragmatystów. Jeśli marksistom przyświecało hasło Marksa „Filozofowie różnie interpretowali świat; chodzi jednak o to, aby go zmienić” – ci młodzi zaczęli wcielać je w życie, z tym że zmienili „filozofów” na „donosicieli”. Więc: „donosiciele różnie interpretowali świat”...

Gawędy ubeckie

Nawrocki był „robotnikiem ostatniej godziny”, zgłosił się do winnicy MSW – jak wynika z akt – dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że współdziałał kiedyś z buntującymi się literatami Nowego Romantyzmu[3] i że pisał magisterium o Czesławie Miłoszu – jego przejście na stronę SB było w służbach powodem do radości – jakby za parę srebrników zwerbowano byłego apostoła. Nawrocki podjął długoletnią współpracę, oceniano go jako „źródło wiarygodne”, co znalazło wyraz w gratyfikacjach pod postacią paczki kawy, butelki winiaku albo nawet koniaku.[4] Na marginesie powiedzmy, że taka forma współpracy pozwalała co ambitniejszym i wrażliwszym donosicielom z czystym sumieniem oświadczać, że niczego nie podpisawali i żadnych pieniędzy nie brali. Wielu współpracowników delikatesy otrzymane od SB po prostu sprzedawało.

Korzyści były obopólne. Nawrocki, który wielkiego talentu literackiego nie przejawiał, dzięki kontaktom z SB trafił na swój gatunek! Z racji tego, że jako konsultant MSW swoje doniesienia opowiadał – przyjęły one formę tzw. doniesień ze słów, czyli gawęd, wpisujących się w ciąg dawnych gawęd szlacheckich, których szczytami były *Pamiętki JPana Seweryna Soplicy* Henryka Rzewuskiego i cykl *Ostatni z Nieczujów* Zygmunta Kaczkowskiego. Analogie te wydają się znaczące, jeśli uwzględnić tajne związki Rzewuskiego z kancelarią carskiego namiestnika Iwana Paskiewicza oraz to, że Kaczkowski był austriackim szpiclem. A przecież trzeba przyjąć, że „gawędy ubeckie” Nawrockiego były jeszcze barwniejsze językowo, jeszcze lepiej pokomponowane niż stanowiące końcowy produkt raporty klecone przez życzliwych, lecz prostych oficerów SB!

Z tajemnic erotycznych dekadencji PRL czasów junty

Przyjrzyjmy się dokładniej jego twórczości. Zanotowana 4 kwietnia 1986 r. przez kpt. Edwarda Jurewicza gawęda o „Iskrach” zaczyna się zgodnie z zasadą Alfreda Hitchcocka mocnym jak trzęsienie ziemi akcentem ogólnym, potem przechodzi do indywidualnych przypadków – jakby najpierw mówił o zarazie, a potem opisywał zarażonych:

„Wśród załogi panuje w tej chwili atmosfera napięcia i terroru. Odbija się to negatywnie na pracy. Widać to po źle redagowanych książkach i prawie do połowy z nich potem muszą być dodrukowane erraty (np. do *Jesiennego dnia* Wł[odzimierza] Słobodnika, do *Strof z dreszczykiem* itd.) [...] Sz. (dyrektor) na miejsce zwalnianych ludzi przyjmuje ludzi z opozycji. Przyjął reportera Jacka Snopkiewicza, byłego pracownika «Literatury» i działacza Solidarności, na stanowisko kierownika działu reportaży [...] następnie Macieja Krasickiego, działacza opozycji. Mirosława Kowalskiego – byłego redaktora tygodnika «Solidarność». Awansował też na zastępcę kierownika reportaży swoją kochankę Ewę M... Niedługo zostanie podpisana na wniosek Jacka Snopkiewicza i Macieja Krasickiego umowa o książkę reporterską z lekarką pogotowia – aresztowaną w sprawie [Grzegorza] Przemyska. Książka ma być o prawdziwej przyczynie śmierci Przemyska»”.[5]

Dalej jednak napięcie nieco spada, zamienia się w rachunek przewinień pracowników:

„P[odstawowa] O[rganizacja] P[artyjna] w Iskrach jest w rozsypce. Z 12 osób zostało 8, całkowicie podporządkowane Sz. Wśród nich dwoje, którzy na polecenie Sz. wstąpili do partii po roku 82: kierowca Marek K. i sekretarka – kochanka Sz., Janina S... Na tym Sz. zbił polityczny kapitał, mówiąc: w innych wydawnictwach występują z partii, a u mnie wstępują. Część uczciwych członków PZPR pragnie przenieść się z POP Iskrowego do innych organizacji”.

W końcówce mamy już tylko telegraficzną wyliczankę „przestępców”, których nazwiska, ze względu na ochronę informacji wrażliwych, oznaczymy jedynie literami:

„1) Ewa G [...] – kier. działu ekonomicznego, chodzi ze znaczkiem Solidarności, po stanie wojennym ubrana zawsze na czarno. Rzadko bywa w pracy, ale zawsze przyznaje sobie najwyższe premie, które zatwierdza Sz.

2) Ewa M [...] – z-ca kierownika reportaży, kochanka Sz.

3) Barbara M [...] – kier. działu produkcji, kochanka Sz., dostaje zawsze wysokie premie bez względu na wykonaną pracę. Nie ma kwalifikacji na swoje stanowisko.

4) Janina S [...] – kochanka Sz., ma wyższą pensję niż wieloletni dobrzy redaktorzy, dostaje zawsze najwyższą premię.

5) Marek K [...] – kierowca, z poborami jak wyżej.

6) Maria J [...] – lansuje literaturę antysocjalistyczną, chora psychicznie, pacjentka Drewnicy [szpital dla nerwowo i psychicznie chorych], wyprawia awantury, boją się jej prawie wszyscy. Poza wysokimi premiami dostaje zawsze specjalne premie z funduszu dyrektorskiego [...].

Jeżeli nie będzie żadnej reakcji ze strony władz wobec Szymańskiego, może w tym wydawnictwie w najbliższym czasie dojść do jakiejś [pisownia oryginalna!] irracjonalnej tragedii”.

Wspaniały materiał na polityczną groteskę o burdelu udającym harem (bądź odwrotnie) zostaje w końcu zmarnowany, resentymenty wzięły górę nad talentem, autorowi chodzi już tylko o „dołożenie” zwierzchnikowi. Autor donosu obniża jego literacki poziom, gdy robi „subtelne aluzje” na temat swojej sytuacji materialnej – jak większość delatorów ochotników ma też swoje oczekiwania. Kiedy jednak zdarzy się okazja, by znów donieść na zniechęconego dyrektora – odzyskuje talent i skrzydła. Potrafi nawet zmieniać stylistykę, z tonu patetycznego wpada we frywolny, wspominając, że dyrektor Sz. nie tylko przywiózł 700 dolarów i 150 marek, ale także kasety porno. To obniżenie poziomu, pozornie będące wadą w przypadku edycji gawęd Nawrockiego, może przełożyć się na popyt.

Z chłopaka król

Biografia donosiciela również stanowi barwny materiał literacki. Warto zwłaszcza sięgnąć po teksty stanowiące rodzaj partytury. Poeta i oficer SB 5 stycznia 1982 r. dyskutowali nad maszynopisem, w którym został wydrukowany ewentualny skład egzekutywy i Zarządu Głównego ewentualnego ZPP, czyli Związku Pisarzy Polskich, który ewentualnie miałby powstać. Na maszynopisie widnieje notka: „źródło «A.N.» przyjął E. Leśniewski”. Czy Nawrocki był projektodawcą, czy tylko konsultantem – nie wiadomo. Wiadomo jednak, jakie nazwiska akceptował i jakie cenzurki wystawiał literatom. Szefem, czyli I sekretarzem partii w nowym związku miał zostać Andrzej Gerłowski, zastępcami: Jerzy Grzymkowski, Wojciech Roszewski i Marek Wawrzkiwicz. Z tej czwórki tylko Roszewski nie współpracował z MSW. Nawrocki o tym nie wiedział, ale wycucie miał dobre. Prezesem nowego Związku miał zostać Wojciech Żukrowski, zastępcami – Jan Dobraczyński, Roman Bratny i Jerzy Ofierski. W projektowanym Zarządzie Głównym było co najmniej dwóch współpracowników SB: Jan Maria Gisges i Kabatc oraz starzy wypróbowani towarzysze: Bohdan Czeszko i Marian Pilot; a jako listek figowy – prof. Wacław Kubacki.

W sumie związek ma liczyć 100 osób, Nawrocki radzi oddzielić tłumaczy, dziennikarzy, twórców literatury dziecięcej. Z tak małej, elitarnej organizacji odpadną automatycznie „politykierzy”.

Z godną podziwu czujnością Nawrocki już na starcie eliminuje tych „politykierów”. Akceptuje Żukrowskiego, Bratnego, Wiesława Myśliwskiego, Janusza Krasieńskiego i Bratnego – pomija jednak Kuśniewicza (to jedyna większa pomyłka) i Mieczysława Jastruna, który stoczył się na wrogie pozycje. Akceptuje Ernesta Brylla i Bohdana Drozdowskiego – odrzuca Zbigniewa Herberta i Wiktora Woroszyńskiego, zapisuje Dobraczyńskiego – lecz pomija ks. Jana Twardowskiego, zdobywa jego uznanie Rymkiewicz – lecz tylko Aleksander, Jarosław Marek już nie. Z poetów jest Wawrzkiwicz i paru partyjnych grafomanów (Henryk Gaworski, Tadeusz Chudy), ale nie ma ani Żulińskiego (Nawrocki podejrzewa, że jest on Żydem), ani Macieja Zenona Bordowicza, którego z jakichś zagadkowych względów wolałby w neozwiązku nie widzieć. Siebie, rzecz jasna, widzi.

Związek Pisarzy Polskich planowany przez poetę i esbeka pozostał na papierze. Wraz z odwieszeniem stanu wojennego władze po prostu „odwiesiły” ZLP, niektórzy pisarze znowu zaczęli działać, niektórzy ograniczyli się

do pisania w podziemiu, niektórzy wreszcie – i takich było najwięcej – udzielali się i tu, i tu. Nawrocki został na marginesie. Przeżywał upokorzenie, gdy spotykali się z nim oficerowie niższej rangi, i radość, gdy w ramach honorarium dostawał od esbeków różne delikatesy.[6] W III RP zaczął tworzyć świat fikcji, w którym robi mitomańskie imprezy – w lwiej części poświęcone kultowi własnej osoby. Udało mu się nawet nawiązać dobre stosunki z Rosją, dzięki czemu otrzymał medal od prezydenta Jakucji, co pochlebcom przypomina karierę francuskiego aktora Gérarda Depardieu, a prześmiewcom – Nikodema Dyzmy. Tyle że w krainie poezji.

Nie tylko donosy Nawrockiego, lecz także jego kariera w III RP to materiał na kapitalne książki – ale dla zdolniejszych literatów. Nie sądzę, żeby Nawrocki rościł sobie prawa autorskie do opowieści – zwłaszcza że ostatecznie jego gawędy redagowali oficerowie SB, a on fasował kawę i alkohol.

Oskar Wilde w spódnicy

Snując te teoretyczne rozważania, nie można nie wspomnieć o „Marii Wolskiej” – znanej w świecie poezji jako Barbara Kmicic. To zmarnowana artystka prozy poufnej, chyba jedyna przedstawicielka delatorstwa lirycznego, unoszącego się w stronę fikcji literackiej. Przy okazji trzeba podkreślić kunszt formalny autorki. Niektóre donosy mają formę powieści szkatułkowej. Autorka, która rzadko mieszka sama, postanowiła zakamuflować pisanie donosów przed współlokatorami jako pisanie powieści. Poszczególne donosy-rozdziały po napisaniu trafiają do SB i tutaj dekodują je specjaliści, czasem wspólnie z autorką. To, że czytelnicy otrzymują klucz do politycznego odczytania „powieści”, nie umniejsza jej wartości literackiej. Doniesienia „Marii Wolskiej” to powieści jednocześnie ezo- i egzoteryczne. Odłożywszy na bok męską dumę, trzeba przyznać, że w dziedzinie „prozy stosowanej” autorka przewyższa nie tylko pełnego mrocznych podtekstów Nawrockiego, lecz nawet Kuśniewicza i Passenta razem wziętych. Gdy tamci próbowali wywołać działania SB przez tendencyjne opisy sytuacji, ona za pomocą intrygi wywołuje same sytuacje.

„Maria Wolska” najbardziej ocala artyzm donosów, do każdego niemal sprawozdania potrafi wpleść anegdotkę i liryczny ozdobnik. To plotka podniesiona na poziom arcydzieła, są w niej i humor, i tempo, i znakomita intryga. Donos wyjaśniający, że przygotowywany przez trzy „panie z KOR-u” anonim informujący o powielaczu to w istocie ich zemsta na pewnej czwartej pani z tegoż towarzystwa – za to, że zaliczyła ich trzech mężów! Donos „pań z KOR-u” ma załatwić konkurentkę, ukarać i nastraszyć trzech niewiernych samców, a jednocześnie odwrócić uwagę służb od samego powielacza i rzeczywistych przestępców, którzy powielacz obsługują. To nawet lepsze niż Wilde!

Oczywiście „Maria Wolska” nie ma pojęcia, że służby wiedzą prawie wszystko o powielaczu, o paniach z KOR-u i ich mężach – żadne środowisko polityczne nie było tak dopieszczane (dosłownie i w przenośni), jak panie i panowie z KOR-u. Zmniejsza to wartość operacyjną jej donosu, nie zmniejsza wartości literackiej – to gotowy materiał na scenę. Każda literatura, każda sztuka po swym „klasycznym” etapie osiąga poziom manieryzmu, każdej towarzyszy jej własny barok. Kunsztowne donosy „Marii Wolskiej” to barok prozy delatorskiej, to jej szczyt. Przyszła antologia winna także uwzględnić niejawną krytykę uprawianą przez autorkę na prośbę MSW – pozostawiła ona w teczkach kilka wartościowych recenzji, których jawnie raczej by nie napisała. W tym

samym dziele „krytyki politycznej” mogłyby się znaleźć analizy i opinie, których autorami byli np. „Ryszard Gapień” (Grzegorz Walczak) czy wspomniany już „Jan” – Żuliński.

Niewesoła refleksja i olśniewająca wizja

W finale planowanej książki musi się pojawić niewesoła refleksja. „Jan” czy „Ewa” od Jasienicy są talentami skazanymi na samotność. Tajemnicą ich utworów jest przecież to właśnie, że powstają w cuchnącej ciszy wychodków, przeważnie w nocy. A warunkiem postępu jest wymiana doświadczeń, uczestnictwo w pamięci zbiorowej, mądre dialogi i radosne kłótnie. Już Grecy odkryli, że kultura potrzebuje olimpiad... Antologia donosu polskiego może stanowić miejsce jeżeli nie wymiany, to wzajemnego podglądania doświadczeń i podkradania pomysłów.

Może to stanowić inspirację do stworzenia kolejnej gałęzi twórczości: literatury pseudodelatorskiej. Uwolniona od rygorów zachowywania objętości, trzymania się konkretnych „figurantów” i autentycznych miejsc, będzie ona dalsza od prawdy, lecz jakże bardziej atrakcyjna literacko – i nie tylko! A im będzie atrakcyjniejsza – tym większy wywrze wpływ na postawy i działania odbiorców. Z punktu widzenia ideologii literatura delatorska jawi się jako naturalny sojusznik wielkiego, trwającego od czasów Oświecenia projektu materializacji i ateizacji Europy. Eliminacja wartości tzw. wyższych, których wpływ na ludzkie działanie bywa trudny do przewidzenia, uczyni masy łatwiejszymi do sterowania, a tym samym ułatwi stworzenie Królestwa Materialnego na ziemi.

Tekst pochodzi z numeru 1-2/2019 "Biuletynu IPN"

COFNIJ SIĘ